

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/mlodziez/31423,Legenda-katowickiej-wiezy.html>



Fot. NAC

ARTYKUŁ

Legenda katowickiej wieży

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: GRZEGORZ BĘBNIK 08.01.2019

Rankiem 4 września 1939 roku podeszła pod Katowice 239. Dywizja Piechoty gen. mjra Ferdinanda Neulinga, podporządkowana 3. Odcinkowi Grenschutzu dowodzonemu przez gen. leut. Georga Brandta. Miała zająć miasto opuszczone już wówczas przez regularne oddziały Wojska Polskiego i polską administrację.

Katowice, które śląski wojewoda Michał Grażyński intensywnie rozbudowywał i poszerzał przez przyłączanie kolejnych, sąsiadujących miejscowości, liczyły w dniu wybuchu wojny 134 tys. mieszkańców. Stosowana często dumna nazwa Wielkie (in spe raczej) Katowice nie powinna jednak wprowadzać w błąd. Zwarta, miejska zabudowa kończyła się w promieniu około kilometra, dwóch od rynku. Dalej rozciągały się już podmiejskie osiedla, stopniowo jednak rozbudowywane.

Katowice: miasto symbol

W II RP Katowice były najszybciej rozwijającym się miejskim ośrodkiem, zwłaszcza wobec stopniowego ustępowania po 1935 roku symptomów kryzysu gospodarczego. W mieście podziw wzbudzały nowe, awangardowe często budynki: gmach Urzędu Wojewódzkiego, Muzeum Śląskie, „drapacz chmur” przy ul. Żwirki i Wigury, dzielnice mieszkaniowe na południe od linii kolejowej, wreszcie szybko rosnąca w górę katedra. W skwarne lato 1939 roku ogromną popularnością cieszyły się zarówno miejscowe kąpieliska, jak i spacerowanie na świeżym powietrzu. Tłumnie odwiedzany był zwłaszcza założony na terenie dawnych pokopalnianych wyrobisk, nieodległy od centrum miasta, Park Kościuszki, przez Niemców uparcie nazywany Parkiem Południowym (Südpark). Górowała nad nim stalowa kratownica wieży spadochronowej, wykorzystywanej zarówno do profesjonalnego szkolenia skoczków, jak i oddawania skoków amatorskich, wymagających jednak sporej odwagi.

Pod względem narodowościowym Katowice były już innym miastem aniżeli to, które w górnośląskim plebiscycie 1921 roku gremialnie opowiedziało się za pozostaniem w granicach Niemiec.

Pod względem narodowościowym Katowice były już innym miastem aniżeli to, które w górnośląskim plebiscycie 1921 roku gremialnie opowiedziało się za pozostaniem w granicach Niemiec. Wielu zdeklarowanych miejscowych Niemców wyemigrowało do Rzeszy, wśród pozostałych mieszkańców natomiast sporą i wciąż rosnącą grupę stanowili przybysze z dawnej Galicji lub Kongresówki, zatrudnieni najczęściej w państwowej czy samorządowej administracji, szkolnictwie, armii... Gdy zaś mowa o „miejscowych”, to

zwłaszcza młodsze pokolenie, które zdążyło już ukończyć polskie szkoły, a za pośrednictwem młodzieżowych organizacji (nade wszystko harcerstwa) głęboko nieraz „wrosnąć w polskość”, najczęściej odznaczało się bardziej zdecydowaną postawą narodowościową aniżeli ich ojcowie czy dziadkowie. I dla Polaków, i dla Niemców Katowice były miejscem o znaczeniu symbolicznym; dla pierwszych widowym dowodem triumfu polskiej myśli zachodniej i zatrzymania niemieckiego „parcia na wschód”, dla drugich – stygmatem hańby i upokorzenia po przegranej wojnie, powstaniach i decyzji zwycięskich mocarstw o podziale Górnego Śląska. Te konotacje w znacznym stopniu zaważyły również na losach miasta w pierwszych dniach Września.

Co spadło z wieży?

Oddziały 239. Dywizji Piechoty powoli podchodziły ku centrum miasta. Około godz. 9.00, kiedy niemieccy żołnierze znajdowali się już dosłownie o rzut kamieniem od katowickiego rynku, zmęczone przebytą drogą, upałem i wszechobecnym kurzem kolumny Wehrmachtu zatrzymały się na skraju Parku Kościuszki. Zarówno zwiadowcy, jak i informatorzy spośród niemieckich mieszkańców miasta donosili bowiem, że w samym parku znajdować mają się słynni „powstańcy” (Aufständische, Insurgenten), których niemiecka propaganda dostrzegała za każdym rogiem. Generałowie wraz ze swymi sztabami zajęli wobec tego dogodne stanowisko na wzniesieniu nad ulicą Kościuszki prowadzącą w kierunku centrum miasta. Wokół ustawiono (z ostrożności, podyktowanej kolejnymi informacjami, tym razem o widzianych w mieście polskich tankietkach) kilka działek przeciwpancernych kal. 37 mm. W dół, ku Katowicom, spływać poczęły masy żołnierzy w mundurach feldgrau; część w samochodach, większość jednak pieszo, wśród skrzypienia osi licznych furmanek i podobnych zaprzęgów. Dywizja gen. Neulinga, na co wskazuje zresztą jej wysoki numer, była jednostką tzw. trzeciej fali mobilizacyjnej, sformowaną z żołnierzy pospolitego ruszenia (Landwehr). Wobec tego, po pierwsze, w jej skład wchodziły nade wszystko starsze i gorzej przeszkolone roczniki, po drugie – wobec faktu, że dywizje te formowane były na bazie terytorialnej – żołnierze i znaczny odsetek oficerów wywodzili się z... Górnego Śląska. Ściślej zaś – z jego niemieckiej, zachodniej części.

W pewnej chwili, gdy opięci w mieniące się złotem i szkarłatem mundury niemieccy generałowie (trzej, gdyż Neulingowi i Brandtowi towarzyszył też szef sztabu tego ostatniego, gen.mjr Otto von Knobelsdorff) zajęci byli obserwowaniem podążających w stronę Katowic żołnierzy, nad ich głowami zaświstała oddana z karabinu maszynowego seria wystrzałów. Później kolejna – i jeszcze jedna... Źródło zlokalizowane zostało niemal natychmiast – była to szczytowa platforma stojącej w Parku Kościuszki wieży spadochronowej.

Oddane niewprawną na pewno ręką strzały nikogo nie trafiły; wysoka na 55 m wieża, znajdująca się do tego w najwyższym punkcie ówczesnych Katowic, intensywnie „pracowała” na wietrze, odchylając się od pionu nawet o metr. W tych warunkach wzięcie odpowiedniej poprawki na oddanie celnego strzału było nie tyle trudne, ile niemal wręcz niemożliwe. Tym bardziej że na wieży na pewno nie siedział snajper; karabin (lub karabiny) bez wątplenia obsługiwany był przez wojskowego amatora.

W pewnej chwili, gdy opięci w mieniące się złotem i szkarłatem mundury niemieccy generałowie (...) zajęci byli obserwowaniem podążających w stronę Katowic żołnierzy, nad ich głowami zaświstała oddana z karabinu maszynowego seria wystrzałów.

Skąd ta pewność? By odpowiedzieć na to pytanie, wystarczy uzmysłowić sobie sytuację: gniazdo karabinu maszynowego zlokalizowane na widocznej z oddali stalowej konstrukcji, bez możliwości wycofania się czy choćby zmiany pozycji. Widoczność, co prawda, znakomita, lecz prawdopodobieństwo trafienia stamtąd czegokolwiek o rozmiarach mniejszych od samochodu ciężarowego raczej wątpliwe. Co istotne, zależność ta nie działała w drugą stronę: załoga wieży była łatwym celem dla strzelających z ziemi przeciwników. Toteż niemal natychmiast otwarły ogień niemieckie karabiny maszynowe. Wkrótce potem padły strzały z jednego z działek przeciwpancernych, specjalnie w tym celu wypchniętego na skarpę okalającą ulicę Kościuszki. Późniejsza pogłoska mówiła, że gen. Brandt osobiście nadzorował ustawienie celownika. Prawda to czy nie, z działka padły cztery do pięciu strzałów, oddane nie typowymi pociskami przeciwpancernymi, lecz dostępnymi również dla tego rodzaju broni artyleryjskimi granatami. Jeden z pierwszych uderzyć miał w umieszczoną wewnątrz kratownicy linę windy, która runęła w tym momencie w dół. Po kolejnym trafieniu z wieży coś odpadło: może był to fragment konstrukcji, a może zrzucone eksplozją ciało któregoś z obrońców. Wówczas ogień zamilkł.

I tu kończą się wszelkie pewne informacje. Nie wiemy, kto przebywał wówczas na wieży (mówiono o katowickich harcerzach, co w świetle istniejących relacji wydaje się prawdopodobne), nie wiemy, czy ktoś z tych osób przeżył ostrzał, nie wiemy wreszcie, czy rzeczywiście – jak chce kolejna pogłoska – żyjący jeszcze obrońcy zrzućeni zostali z wieży przez nacierających Niemców. Pomimo kilkakrotnie (ostatnio w 2003 roku) wznawianych śledztw, przesłuchania całej rzeszy świadków, apeli w mediach, wreszcie kwerendy we wszelkich chyba dostępnych archiwach – nie udało się nie tylko wyjaśnić losów załogi wieży, ale nawet ustalić jednego choćby nazwiska obrońcy. Zadziwiające, prawda?

Ten niewątpliwy fenomen postaramy się wyjaśnić później. Teraz jednak powróćmy do Parku Kościuszki 4 września 1939 roku. Zaledwie chwilę po tym, kiedy umilkły strzały z wieży, do żołnierzy niemieckich otwarto ogień z parkowych zarośli. Ci zareagowali tak, jak w podobnej sytuacji zwykli to robić cywile przebrani dla fasonu w wojskowe mundury – gremialnie rzucili się do przydrożnych rowów, z rzadka i chaotycznie próbując odpowiadać ogniem. Trzeba było zdecydowanej interwencji oficerów, by podnieść opolski Mannschaft z ziemi i nakłonić go do przeczesywania parkowych zarośli. W trakcie tego doszło do kilku potyczek; wzięto jeńców, o których dalszym losie dywizyjne dokumenty dyplomatycznie milczą. Niemieckie kolumny ostrzeliwano w kilku

jeszcze innych miejscach parku. Tak czy inaczej, zamieszanie związane z łamaniem polskiego oporu na południowych rogatkach miasta kosztowało Niemców sporo straconego czasu: na katowicki rynek gen. Neuling wjechał dopiero o 11.30.



**Oświetlona wieża spadochronowa
w parku im. Tadeusza Kościuszki
w Katowicach, 1937-1939 (NAC)**

Nie był to zresztą koniec walk o miasto. Pragnąc dotrzeć do centrum, niemieccy żołnierze musieli stoczyć jeszcze bój o zajadle broniony Dom Powstańca przy ul. Matejki, złamać opór wokół dworca kolejowego, wreszcie przygotować się na pojedyncze strzały usadowionych na dachach i strychach „strzelców zza węgła” (Heckenschützen). Kiedy przed południem na katowickim rynku gen. Neuling spotkał się z żołnierzami Grenzschutzu, podążającymi na Katowice z drugiej strony, od Chorzowa, niespodziewanie dostał się w skoordynowany ogień z pobliskich dachów (wyszedł z tego bez szwanku). Po początkowych, desperackich raczej próbach odnalezienia strzelców Niemcy otrzymali rozkaz jak najszybszego przejścia przez centrum miasta i rozejścia się na wyznaczone w pobliskich miejscowościach kwatery. Do Katowic sprowadzono natomiast oddziały policji z Zabrza i Bytomia, znacznie lepiej radzące sobie w trudnym, zurbanizowanym terenie. To już ich dziełem, a także samoobrony, doraźnie tworzonej spośród niemieckich mieszkańców, będzie ostateczne spacyfikowanie oporu.

Zeznania starszej pani

Powróćmy jednak do wieży spadochronowej. Wkrótce po walkach Niemcy zabezpieczyli uszkodzoną konstrukcję, odgradzając wejście drutem kolczastym. Jak to zwykle bywa, nie stanowił on żadnej przeszkody dla żądnych emocji młodych ludzi; przynajmniej kilku okolicznych chłopaków odważyło się wejść aż na szczytową platformę w poszukiwaniu śladów walk. I cóż – sama platforma była postrzelana, uszkodzona w wielu miejscach, osmalona płomieniem eksplodujących pocisków. Walało się na niej jeszcze mnóstwo naboju łusek, lecz brakowało jednego – śladów krwi. Ich ewentualne splukanie przypisać można by ostatecznie opadom atmosferycznym, jednak pierwsze dni września były słoneczne i upalne, bez przelotnego choćby deszczu.

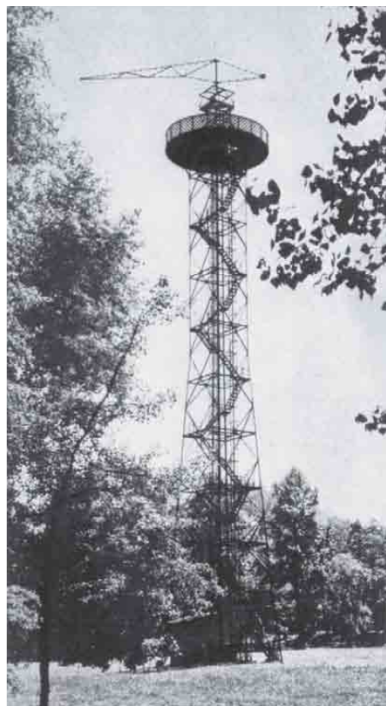
O tym jednak usłyszeć miano znacznie później. Na razie trwała okupacja, zaś katowicka wieża (w początku lat czterdziestych rozebrana zresztą i zełamowana) powoli stawała się miejscem symbolicznym; w rocznice Września pojawiały się pod nią kładzione ukradkiem znicze, kwiaty... Już wówczas z ust do ust podawano sobie przekazy o broniących wieży katowickich harcerzach i ich tragicznym jakoby końcu – przez niemieckich żołnierzy mieli zostać zrzućeni z platformy. Dopelnieniem tej narracji, a zarazem początkiem trwającej do dziś legendy, stała się wydana w 1947 roku powieść Kazimierza Gołby „Wieża Spadochronowa. Opowiadanie z 1939 r.” Do dziś przez niektóre środowiska jest ona uznawana za dokumentalny wręcz zapis wydarzeń, mimo jednoznacznie literackiego podtytułu. Co ciekawe, kolejne wydania książki, ukazujące się już po śmierci zmarłego w roku 1952 autora zostały tego podtytułu pozbawione, dodano za to inny, sugerujący relację historyczną: „Harcerze śląscy we wrześniu 1939”.

Dopóki używano wyłącznie broni ręcznej, dopóty wymiana strzałów uchodzić mogła za równorzędną. Lecz po pierwszym wystrzale z niemieckiego działka przeciwpancernego załoga wieży postanowiła uciec.

Wracając zaś do losu obrońców – jak wytłumaczyć całą opisaną wyżej sytuację z brakiem śladów krwi na platformie wieży? Wydaje się, że – jak to zwykle bywa – rozwiązanie najprostsze będzie zarazem tym najbardziej wiarygodnym. Dysponujemy przekazem naocznego świadka, mówiącym, że widział on – w chwilę po rozpoczęciu ostrzału wieży – zjeżdżającą stamtąd windę, którą ewakuowali się obrońcy. Jeśli tak, to chyba jednak nie wszyscy.

Oto bowiem – już w ostatniej odsłonie śledztwa, w 2004 roku, w katowickiej prokuraturze IPN pojawiła się

pewna starsza pani, by opowiedzieć historię swej siostry, przedwojennej harcerki. Miała ona znajdować się na platformie wieży pośród grupy obrońców. Dopóki używano wyłącznie broni ręcznej, dopóty wymiana strzałów uchodzić mogła za równorzędną. Lecz po pierwszym wystrzale z niemieckiego działka przeciwpancernego załoga wieży postanowiła uciec; ponieważ winda była już unieruchomiona, schodzono, chwytając się bocznych fragmentów konstrukcyjnych. Schody znajdowały się wówczas pod silnym ostrzałem.



**Wieża spadochronowa w
Katowicach (AIPN)**

Ta hipoteza wydaje się najlepiej wyjaśniać dwie przynajmniej sprawy: po pierwsze, zagadkę zdumiewającej anonimowości rzekomo poległych obrońców, po drugie – zupełny brak śladów krwi. Ponadto brzmi ona najbardziej przekonująco z psychologicznego punktu widzenia; pierwsze wystrzelone z działka pociski rozminęły się z celem, jednak przelatując w pobliżu obrońców, musiały swym piekielnym odgłosem wywołać – co w pełni zrozumiałe – szok i przemożną chęć ucieczki. Najpewniej zresztą dopiero wówczas załoga wieży uświadomiła sobie powagę położenia. I zareagowała w sposób najbardziej racjonalny.

Co interesujące, opinię taką (choć przedstawioną w formie pytania) zawarł w swej książce „Tak nadeszła hekatomba. Katowicki harcerski wrzesień 1939 roku” (wydanie drugie z 1995 roku) nie byle kto, bo katowiczanie Tadeusz Czyłok, w 1939 roku uczestnik paramilitarnego Pogotowia Harcerzy, po wojnie harcmistrz, przez długie lata przewodniczący Komisji Historycznej miejscowego hufca ZHP, osobiście

zaangażowany w zgłębianie tajemnic katowickiego Września. Co zaś jeszcze bardziej interesujące, ta jego opinia przeminęła bez żadnego wręcz echa.

Czy taki przebieg wydarzeń w jakikolwiek sposób deprecjonuje bohaterstwo obrońców? Nie sędzę. Katowicka wieża spadochronowa jest dziś niezaprzeczalnym symbolem tragicznych dziejów miasta w pierwszych dniach II wojny światowej. Natomiast obrońcy wieży, niezależnie od tego, kim byli, zmierzyli po prostu „zamiar podług sił”. I tyle. Druga możliwość w postaci „walki do ostatniego naboju” najzwyczajniej nie istniała; w najpewniej niecałą minutę po (domniemanej) ucieczce z wieży w jej platformę, miejsce właśnie opuszczone przez obrońców, uderzył artyleryjski pocisk. Czy naprawdę chcielibyśmy, by – w imię pięknej legendy – ktoś w tej eksplozji zginął?

Tekst pochodzi z numeru 9/2013 miesięcznika „Pamięć.pl”

Wprowadzenie dodane przez redakcję

COFNIJ SIĘ